

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Dawno temu, kiedy Państwa nie było jeszcze na świecie, tacy jak ja krzywo patrzyli na wyluskiwanie się nauki o informacji z bibliotekoznawstwa, nie widząc uzasadnień praktycznych ani teoretycznych. Były nawet zarzuty megalomanii, czyli niechęci do popolitowania się z (po dzisiejszemu) bibliologami. Kiedy jednak do gry przystąpiły komputery oraz pojawiła się digitalizacja, dotychczasowa nieufność stopniała jak śnieg w marcu: częściowo. Natomiast dzisiaj widać już wyraźnie, że informatologia w narzeczeństwie z informatyką wkracza w obszary tak autonomiczne i świeże, że dawne relacje stają się iluzją i trudno nawet o wzajemne zrozumienie. Może zatem trzeba wykreować podgałąź naukową, biblioinformatologię, a dla praktyki infobibliotekarstwo – choćby ku wzajemnej wymianie uśmiechów? Ale o to też łatwo nie będzie.

Nie do spójnego opanowania okazuje się bowiem rozrzut tematyczny. Co niech potwierdzą (w pigułce) sygnalizowane tu publikacje. Ale wobec tego mamy pozamykać się w mikroprzegródkach subtematycznych? Wówczas wszak nie będzie żadnej pewności, czy to co się uprawia, ma jeszcze charakter naukowy, a to co się wykonuje, nadal jest zawodem wielozakresowym.

Komputerystyka [*****]

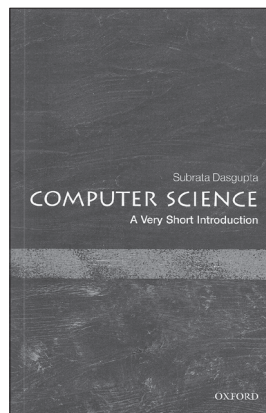
Subrata Dasgupta (2016). *Computer Science. A Very Short Introduction*. Oxford: Oxford University Press, pp. 147. ISBN 978-0-19-873346-1

Profesor uniwersytetu w amerykańskim Lafayette – a przedtem w Oxfordzie i w Cambridge – Subrata Dasgupta, opisał naukową subdyscyplinę *Computer science*, czyli naukę o komputerach oraz o ich specyfice, odróżnianą (nie wszędzie?) już od 50 lat od informatyki. I zrobił to, moim zdaniem, rewelacyjnie bowiem prawie wszystko da się zrozumieć.

Książka ukazała się w świetnej serii oksfordzkiej, z tym że jej nazwa jest oszukańcza: efekt *very short* osiąga się przez zmniejszenie czcionki poniżej granic czytelności oraz anulowaniem interlinii. Prawdziwą objętość tekstu szacuję na 400–500 znormalizowanych stron.

Komputer uchodzi za automat, jest więc przypisany do automatyki, czyli do funkcjonowania maszyn, stąd pokrewieństwa z inżynierią. Ale to jest maszyna szczególna, bo skupiona na informacji, dlatego odnośne rozważania nazwano informatyką i jednak wyodrębniono z dyscyplin inżynierskich.

Niejakie zamieszanie było, jest i chyba będzie. Pojawiły się wszak rozbieżności pojęciowe. Samo pojęcie informacji potocznie kojarzy się ze znaczeniem, ale już w nauce tylko semantyczny aspekt informacji odnosi się do znaczenia. Dla C. Shannona to miał być natomiast bezznaczeniowy sygnał, toteż podstawowy miernik, mianowicie bit, ma wartość 0–1 (czyli: jest–nie ma). Ale wartość to nie treść. Natomiast w koncepcjach sztucznej inteligencji, określenie informacji ustępuje miejsca jeszcze mniej konkretnemu pojęciu wiedzy, na które wobec tego składają się fakty, teorie, prawa, przekonania,



reguły i procedury. Żeby zaś nieład był jeszcze większy, pozwolę sobie zwrócić uwagę, że z kolei niektórzy za wiedzę uznają wyłącznie treści indywidualnie odebrane i przetworzone.

Jest też inne rozróżnienie. Mianowicie często mówi się o danych, które reprezentują obiekty oraz zdarzenia, jako ich symbole zastępcze i są obserwowalne (podczas gdy same desygnaty – nie). Natomiast za informacje uważa się dane przetworzone, wraz z ich symboliką. Sygnalizacja takich odmierności oraz specyfik zapewne ma swoje uzasadnienie, ale nie grzeszy oczywistością.

W obszarze nauki o komputerach Dasgupta wyróżnia trzy rodzaje artefaktów, wymagające charakterystyki. Są to mianowicie elementy materialne (urządzenia) oraz abstrakcyjne sygnały, a także składniki świadomościowe (związane z korzystaniem), z reguły interaktywne. Składniki materialne przynależą do obszarów wiedzy inżynierskiej. Natomiast strefy abstrakcyjna i świadomościowa wchodzi w krąg nauk społecznych i humanistycznych. No i z tego właśnie wynika hybrydalna złożoność nauki o komputerach, czyli komputerystyki.

Pierwotną podstawą funkcjonowania komputerów – powiada autor – była oraz jest formuła algorytmu, porządkująca zjawiska w układzie następczym: co mieści się po czym i co z czego wynika. Natomiast bez wyjaśnienia dlaczego. Jest to więc model dyrektywy proceduralnej – jak w mnożeniu wzajemnym liczb kilkucyfrowych. Mnoży się i otrzymuje wynik, bez wnikania dlaczego tak właśnie. Idea jest taka, że przy stworzeniu dwóch albo więcej poziomów abstrakcji, można określić algorytmiczne postępowanie następcze, które doprowadzi do rozwiązania problemu i za każdym razem przyniesie identyczny wynik.

Algorytmy same w sobie są mechaniczne i abstrakcyjne, natomiast odpowiednio stosowane, mogą służyć kreatywności. Oparte na relacjach liniowych, hierarchicznych, lub binarnie powiązanych, proponują swoiste rozumowanie, już to przez analogię, bądź według reguł prawdopodobieństwa. I ten drugi wariant Dasgupta – oraz inni – nazywa heurystycznym.

Osobiście uważam, że taka nazwa jest błędna i prowadzi do zasadniczych nieporozumień. Stanowi bowiem główną przesłankę koncepcji sztucznej inteligencji, przyrównywanej do myślenia ludzkiego. Człowiek bowiem rzeczywiście potrafi myśleć heurystycznie, ale w psychologii i w neuronauce to znaczy coś zupełnie innego: na skrót, przez skojarzenia i przez iluminację, a nie przez rachunek prawdopodobieństwa. Obawiam się więc, że tę samą nazwę przyjęto wobec zjawisk odmiennych. Przez porządną rachunek prawdopodobieństwa można bowiem wygrać w szachy, ale nie da się zrozumieć Antygoni ani Hamleta. Przypuszczam, że tu właśnie bierze swój początek cała mitologia sztucznej inteligencji (AI).

Jednak sam algorytm jest formułą czysto abstrakcyjną. Tymczasem komputer wymaga skonkretyzowanego programu, żeby mógł pracować, a taki tworzy się przez powiązanie algorytmu z językiem programowania. Wymagania wobec programu Dasgupta sprowadza zaś do kilku cech i nie potrafię uściślić, czy jest to (jego zdaniem) rejestr kompletny. Powiada więc, że program ma być: funkcjonalny, powtarzalny, kolejnościowy, dostosowany do wymagań urządzenia, ale także do użytkowniczego korzystania.

Ciekawsza, ale i kontrowersyjna, wydaje mi się autorska opinia na temat samego programowania. Jest to mianowicie czynność o charakterze głównie matematycznym, jednak poddana również regułom syntaktycznym, oraz zaangażowana w semantykę, czyli budowanie i przetwarzanie znaczeń. W związku z tym – tak to zostało napisane! – przypomina twórczość literacką. No więc, moim zdaniem, to już jest legendziarstwo, zmierzające do uszlachetnienia wyobrażeń o komputerystyce. Chyba niepotrzebnie i bezzasadnie.

Kreatywny charakter programowania nie podlega dyskusji, ale do kreacji artystycznej jest jednak jeszcze bardzo daleko. Poza tym dobrze byłoby wiedzieć, czym naprawdę jest literatura. Otóż z algorytmicznym programowaniem nie ma nic wspólnego.

Natomiast istotne znaczenie w swoim rozumowaniu nadaje autor kategorii niepewności. Pisze mianowicie, że algorytmy nie nadają się do wszystkiego, a i konfiguracja składników algorytmicznych może być rozmaita. Otóż stąd właśnie wynika niepewność. Przy braku pewności pojawia się

zaś specjalny sposób postępowania, oparty na szukaniu rozwiązania, nie jednego optymalnego, lecz możliwie najlepszego (tak jak dogodnego miejsca na parkingu) – co nazywa heurystyką intuicyjną – do zastosowania także w programach komputerowych.

Nie mam odpowiednich kompetencji, żeby wypowiadać się co do zastosowań. Natomiast – chociaż nazwać dowolnie można wszystko, byłoby lepiej unikać określić, wcześniej nieco inaczej skonkretyzowanych. Już zresztą o tym tu wspomniałem.

Do tego dodaje autor jeszcze pojęcie metaheurystyki, które w wielu innych naukach jest znane jako satysfakcjonizm. Zjawisko polega na uzyskaniu efektu w działaniu, także w rozumowaniu, ani nie optymalnego, ani nie najlepszego z możliwych, lecz dostatecznego, więc nadającego się (z jakiegoś powodu) do akceptacji.

Nie mam wątpliwości, że główną intencją tej książki wyznacza chęć szerszej prezentacji istoty nauki o komputerach, jako – co najmniej – osobnej dyscypliny (subdyscypliny?) naukowej. Dasgupta kładzie przy tym nacisk na jej wielozakresowy, hybrydalny charakter, a zwłaszcza na połączenie w jednym obszarze obserwacyjnym zjawisk i procesów sztucznych oraz naturalnych. Naturalne, jego zdaniem są informacje, wywodzące się wprost lub pośrednio z rzeczywistości. Sztuczne natomiast (obok technologii) są wytwory, oraz abstrakcyjne i symboliczne procesy przetwarzania.

Czy w celach poznawczych można oddzielić jedne od drugich? Bezpośredniego zaprzeczenia wprawdzie w książce nie ma, ale pośrednim jest...cały tekst. No bo wtedy cóż to byłoby za poznanie? W każdej nauce potrzeba wszak ujęć rozległych.

Dążenie do uznania uprawianej przez siebie gałęzi naukowej za szczególnie doniosłą i w hierarchii ważną, nie jest w ogólnym spectrum nauki niczym szczególnym. Tak postępuje wiele osób i trudno mieć im to za złe; jest to wszak świadectwo głębokiego zaangażowania w to, co się robi. Dasgupta na wszelki wypadek przywołuje propozycję Paula Rosenbloom, żeby komputerystykę uznać za odrębną dziedzinę nauki – obok nauk ścisłych, przyrodniczych, społecznych i humanistycznych. A gdyby ktoś uznał to za przesadę, to w końcu pomysłodawcą nie jest on sam.

Jest oczywiste, że doskonale zna przedmiot swoich rozważań. Natomiast chyba trochę na wyrost (nie on jeden) eksponuje też problematykę sztucznej inteligencji, a w szczególności pojęcie computational thinking, które w 2008 r. wprowadziła do obiegu Jeanette King. Polega to głównie na przyrównywaniu procesów komputerowych do umysłowych, łącznie z budową kombinacji złożonych, więc analogii oraz metafor (jako elementów wyobraźni), oraz na eksponowaniu relacji wyższego rzędu między człowiekiem i komputerem, mianowicie interakcji oraz symulacji. Przywołany w tekście jest też koneksjonizm, oparty na ilustracji ludzkiego myślenia przez procesy w sieci elektronicznej – co neuronauka wykorzystuje tylko częściowo i coraz ostrożniej – a także sygnalizuje się modelowanie procesów genetycznych w kategoriach komputerowych (bioinformatyka).

Otóż w tym obszarze – inaczej niż w całym tekście – dostrzegam sporo uproszczeń i chciejstwa, jak zresztą w większości wypowiedzi na temat sztucznej inteligencji. Chyba bardzo siebie nie lubimy, skoro tak skwapliwie akceptujemy każdy pomysł na uprotezowanie umysłu, myślenia i świadomości. W końcu wspieranie procesów biologicznych, fizjologicznych i psychologicznych przez elektronikę, to jednak zupełnie coś innego, niż zastępowanie na mocy podobieństwa. Fakt, że jedno i drugie jest ciecżą, nie znaczy jeszcze, że krew (naturalną) da się zastąpić przez (sztucznie wytwarzane) piwo. W każdym razie na jednoznaczne opinie, co do zastępowania naturalności sztucznymi, przesłanek dostatecznych jeszcze nie mają.

Zachowania informacyjne [****]

Nigel Ford (2015). *Introduction to Information Behaviour*. London: Facet Publishing, pp. 252. ISBN 978-1-85604-850-7

Z uniwersytetu w Sheffield wywodzi się kilku szeroko znanych autorów monografii bibliologicznych oraz informatologicznych, teraz zaś do tego grona dopisał się tamtejszy profesor Nigel Ford interesującą publikacją na temat zachowań informacyjnych. Tekst jest tak skonstruowany, że obok opinii oraz rozważań dyskusyjnych, zawiera też segmenty z propozycjami do własnych przemyśleń osób czytających. I wprawdzie jest tam trochę oczywistości, a może nawet banałów, jednak przy nastawieniu na możliwie całościową eksplikację problematyki, nigdy nie można uniknąć tego całkowicie.

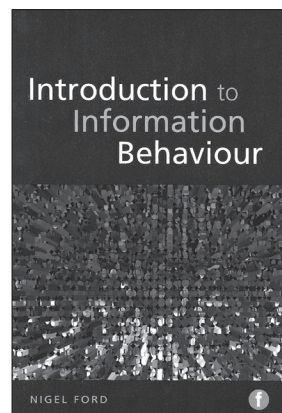
Obszerny początek i równie pokaźne zakończenie zawiera sformułowania definicjonalne, co dowodzi, że staranność i precyzja określeń oraz opinii ma dla specjalistów z tego obszaru wartość pierwszoplanową. Tak jak Dasgupta, Ford przez dane rozumie sygnały bezznaczeniowe, które nabierając znaczeń stają się informacjami, a po indywidualnym przetworzeniu składają się na czyjąś osobistą wiedzę.

Zachowania informacyjne, zdaniem autora, przynależą do sekwencji: potrzeby – zachowania – efekty. Same zaś, w rozwinięciu, mogą przebiegać tak oto. Uświadomienie potrzeby > wybór według niej stosownej informacji > przejęcie > indywidualne przetworzenie > satysfakcja lub niedosyt. Co oczywiście wymaga empirycznego rozpoznania, zazwyczaj trudniejszego, niż się przypuszcza. Badania zaś potrzebne są w sumie po to, żeby poprawić skuteczność transmitowania informacji, stworzyć lepsze systemy informacyjne, a także udoskonalić reguły konstruowania, gromadzenia i pożytkowania informacji. Oraz ponadto – wypracować efektywniejsze formy informacyjnego przysposobienia *information literacy* (II).

Istnieje sporo rozbieżnych opinii na temat tego, czym potrzeba informacyjna właściwie jest. Ford opowiada się za wersją, że to jest deficyt treści do wypełnienia. To zgadza się z najczęstszą definicją potrzeby jako takiej: świadome lub podświadome odczucie braku czegoś. Co natomiast przy tym ważne – nie każdy ma świadomość takiej potrzeby własnej (można wszak nie wiedzieć, czego się nie wie), lub nie identyfikuje jej poprawnie. Z kolei bywa i tak, że luka świadomościowa działa w sumie w kierunku odwrotnym, mianowicie skłania do unikania określonych informacji. Dlatego badanie potrzeb informacyjnych jest szczególnie trudne.

Ford przywołuje w tekście kilka modeli postępowania przy wyszukiwaniu informacji. Trudno tu wszystkie sygnalizować, zwłaszcza że nie różnią się od siebie nadmiernie. Ich wspólne sedno wygląda mniej więcej tak: ustalenie problemu > identyfikacja potrzeby > sformułowanie pytania > wybór odpowiedzi > wykorzystanie. Natomiast wśród nastawień odbiorczych autor odróżnia wyszukiwanie pogłębione, od rozległego ale płytszego, a jedno i drugie od powierzchownego, ograniczonego do detali zewnętrznych. To ostatnie zaś przypisuje przede wszystkim generacji Google (urodzeni po 1993 roku), która – jak twierdzi – kiepsko rozpoznaje własne potrzeby informacyjne, preferuje wyszukiwanie maksymalnie spłycone, z ewidentną tendencją do poprzestawiania na powiadomieniach pierwszych z brzegu i z trudem przyswaja (lub nie) informacje skomplikowane.

A oto inna klasyfikacja. W wyszukiwawczym podejściu holistycznym, a więc syntetyzującym, ma miejsce sekwencyjne przejmowanie informacji – linearne i logiczne. Natomiast w podejściu analitycznym, detalizującym, linearności już nie ma: przejmowane treści rozproszone trzeba następnie konsolidować. Na jednoznaczną jednak ocenę Ford jakoś nie może się zdecydować. W zasadzie preferuje to pierwsze, ale i w podejściu drugim dostrzega niejake zalety. Przypuszczalnie o zastosowaniu i efektywności decyduje w znacznym stopniu sama formuła oferty informacyjnej, dlatego trudno o jednolite wartościowanie ogólne.



Zachowania informacyjne, nawet tych samych osób, różnią się kiedy mają miejsce indywidualnie, od zachowań motywowanych zbiorowo – tak bezpośrednio, jak i pośrednio. Bywają mianowicie współkreatywne, jeśli realizowane w grupie i powiązane z wzajemną dyskusją, albo tylko kooperacyjne, sprowadzone wyłącznie do wspólnych wyszukiwań. Natomiast jeszcze inaczej konstytuują się w następstwie tej samej, ale pośredniej koordynacji: przez wspólny cel wyszukiwań indywidualnych. Nietrudno zgadnąć, jak bardzo utrudnia to prowadzenie miarodajnych badań nad tymi zachowaniami.

W nastawieniach, postawach i zachowaniach, także (albo może zwłaszcza) informacyjnych, ludzie ulegają ogólnym wpływom i ograniczeniom środowiskowym. Które próbuje się rozpoznać, jednak z różnym skutkiem. Ale poza tym każdemu ograniczeniu wyznacza jego własny horyzont poznawczy, to zaś jest już do skonkretyzowania o wiele trudniejsze. A jest akurat tak, że w pierwotnym nastawieniu wszyscy próbują utrzymać się w granicach tego horyzontu właśnie. Poprzestają więc na pierwszych informacjach wystarczających, czyli mieszczących się w wytyczonej przez ten horyzont przestrzeni. Na tym polega satysfakcjonizm, czyniący procesy poznawcze pasywnymi. Który można wprawdzie przełamywać, ale niezbędna jest dobra i starannie przygotowana oferta informacyjna. W założeniu: wypracowana w oparciu o doniesienia badawcze.

Dlatego znacząca część książki traktuje o metodologii badań zachowań informacyjnych, z tym jednak, że niektóre rozważania mają charakter wtórny, albo mało produktywny. Jest tam mianowicie spore narzęcze rozmaitych modeli okołobadawczych, ale to do żadnych użytecznych syntez nie wydaje się prowadzić. Tak jak i samo – mocno zresztą dyskusyjne – wyliczenie możliwych założeń, lub raczej strategii, wstępnych. Pozytywizm, nepozytywizm, interpretacjonizm, pragmatyzm, realizm. Trudno zgadnąć, co miałyby z tego wynikać.

Natomiast za najużyteczniejsze metody badania zachowań informacyjnych Ford uznaje weryfikację hipotez, oraz analizy sytuacyjne (czyli case study), już to jednorazowe, bądź longitudinalne. Zapewne ma rację. Zaś w odniesieniu do samych technik oraz form – nie napisał tego wyraźnie, ale (słusznie) preferuje ankiety oraz wywiady – doradza szczególną dbałość o precyzję pytań (oraz odpowiedzi), oraz unikanie sformułowań sugerujących i dla respondentów niezręcznych. Przestrzega też przed bezkrytycznym zaufaniem do statystycznych przeliczników i wskaźników, które tylko wtedy mają sens, kiedy używa się ich porównawczo.

Autor podnosi też bardzo ważną kwestię ograniczonej wiarygodności respondenckich wypowiedzi. To jest z mora wszystkich badań, opartych właśnie na wywiadach i ankietach. Niestety, weryfikacja zawsze bywa bardzo trudna. Zawarta w tekście wskazówka uciekania się do pytań krzyżowych, jest teoretycznie dobrze uzasadniona, ale wiem z własnej praktyki, że do stosowania wyjątkowo kłopotliwa. No bo jak: poddawać takiej weryfikacji każde pytanie? A jeżeli nie każde, to które? To tylko wygląda na trywialny drobiazg.

Ogólny pożytek z poczynań badawczych powinien ułatwić optymalizację oferty informacyjnej oraz ulepszyć – na ile możliwe – przysposobienie do odbioru informacji. To niby oczywistość, ale w zestawieniu z praktyką, sprawdza się szczątkowo. Jak widać: nie tylko u nas.

Ogromna podaż informacji, nie bez racji kojarzona z informacyjnym śmietnikiem, zaowocowała informacyjnym nadmiarem tak znacznym, że bez umiejętnego wyszukiwania i wyboru, korzystanie jest zawodne. Trzeba mianowicie wiedzieć, co ma rzeczywistą (indywidualną) wartość informacyjną, oraz w jaki sposób do tej wartości dotrzeć. Otóż w wymiarze społecznym ta wiedza jest kiepska i umiejętności postępowania przedstawiają się mizernie.

Pomocne byłyby wiarygodne wyniki naukowych analiz, z których dałoby się ulepszyć efektywne formy informacyjnego przysposobienia, do zastosowania w szkołach, w bibliotekach, oraz w rozmaitych ośrodkach informacyjnych. Ford jednak uważa – i nie tylko on – że badań rzeczywiście pożytecznych jest niewiele, a stosowane metody oraz techniki pozostawiają wiele do życzenia. W rezultacie jakości wyników nie budzi zaufania, toteż rzadko przekłada się je na użytek praktyczny.

To nie jest wprawdzie panorama ani też konkluzja nowa, ale mocno frustrująca. Poddająca przy tym w wątpliwość rozpowszechnione slogany na temat – rzekomo już zbudowanego – społeczeństwa

informacyjnego (inne równie buńczuczne sformułowanie: opartego na informacji), oraz internetowej omnipotencji. Wygląda na to, że do stanu pożądanego droga jest jeszcze daleka.

Wolność, prywatność i etyka w Internecie [***]

Keystones to Foster Inclusive Knowledge Societies. Access to Information and Knowledge, Freedom of Expression, Privacy, and Ethics on a Global Internet. Final Study (2015). Paris: UNESCO, pp. 102. ISBN 97-8-923-1000-898 [dokument elektroniczny]

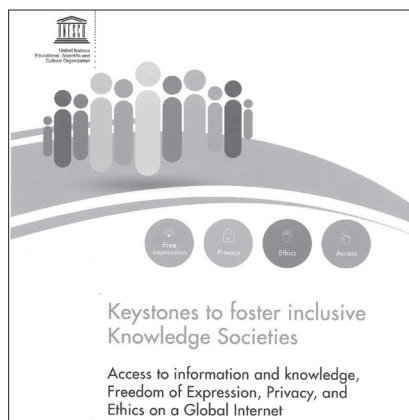
W UNESCO wypracowano dokument (materiał, analizę – trudno to jednoznacznie określić), opublikowany w formie edycji, dotyczący okoliczności dostępu do informacji za pośrednictwem Internetu, w wymiarze globalnym. Jak to zwykle w urzędowym materiale bywa, mnogość sloganów, banałów i oczywistości przyprawia o zawał, a za wielokrotne powtarzanie tych samych opinii, autorom (anonimowym) należałoby poprzyepiekać pięty. Ale jest jednak w tym słowotoku trochę treści ważnych i zasługujących na refleksję.

Nie wykluczam zresztą, że mało korzystne wrażenie potęguje próba wmówienia, iż oto przedkłada się rezultat jakiegoś badania (final report). To nieprawda. Zwrócono się wprawdzie o wyrażenie opinii do ok. 200 osób z całego świata (z Polski – nie), ale ani to eksperci, ani razem nie tworzą żadnej zbiorowości reprezentatywnej. To jest więc po prostu grupowe zaproszenie do dyskusji oraz do namysłu.

Z wyjątkowym założeniem (ciekawe, że korespondującym z opinią Forda), że skoro do Internetu ma dostęp nie więcej niż 42% mieszkańców globu, to jednak opowiadanie o społeczeństwie informacyjnym jest na dzień dzisiejszy grubą przesadą. Tym bardziej, że koncepcja takiego społeczeństwa zakłada coś więcej, aniżeli tylko sam dostęp do źródeł informacji. Mianowicie – jeszcze konieczność szerokiego wdrożenia niezbędnych umiejętności korzystania, a z tym jest źle, albo jeszcze gorzej. Jeżeli zaś dopowiedzieć, że 84% krajów nie wdrożyło żadnych reguł, procedur i regulacji, umożliwiających społeczeństwu dostęp do Internetu, to rzeczywista sytuacja odbiega daleko od tromtadrackich sugestii, że oto informacja jest już dla każdego osiągalna na wyciągnięcie ręki.

W tym miejscu zgłoszę zresztą kolejne zastrzeżenia do tego tekstu, opracowanego przez – bądź co bądź – poważną instytucję międzynarodową. Otóż wolałbym, żeby wobec tego jakość opinii i wypowiedzi kształtowała się jednak powyżej poziomu szkoły podstawowej, a tak nie w każdym fragmencie jest. Autorzy mianowicie sprawiają takie wrażenie, jakby ich zdaniem Internet był w ogóle jedynym transmiterem informacji (innych zatem nie ma?) i to jest sugestia żałosna. Oraz dołączają się do karykaturalnego paninformacjonizmu w założeniu, że w Internecie (o innej komunikacji nie ma wcale mowy) nie istnieje nic innego, poza informacją. No to po co wobec tego te wszystkie definicje danych, informacji, wiedzy, przywołane w sygnalizowanych tutaj tekstach? Nie jest to więc poziom eksplikacji, jakiego należałoby od takiej firmy oczekiwać.

W odniesieniu do samego Internetu – no właśnie: jako rzekomo informacyjnego monopolisty – autorzy, wraz z konsultantami, sugerują cztery podstawowe przesłanki znormalizowanego funkcjonowania, z którymi wypada się zgodzić. Jest to więc warunek łatwego i dogodnego dostępu do informacji oraz do wytworów wiedzy (w tekście mowa o digitaliach tylko), a także możliwości swobodnego wypowiadania się publicznego, oraz jeszcze konieczność ochrony prywatności – w rozumieniu niezbywalnego prawa do zachowania dla siebie informacji o sobie, oraz innych, indywidualnie



określonych treści. Pytanie: po co wobec tego ktoś je wprowadza do sieci, nie pada. Ponadto pojawia się jeszcze założenie ogólne, żeby mianowicie wszelkie regulacje, dotyczące funkcjonowania i użytkowania Internetu, bezwarunkowo były zgodne z regułami etyki.

W rozwinięciu tych sugestii dopowiedziano, że w stosunku do Internetu muszą być honorowane wszystkie prawa społeczne, ustalone uprzednio. Oraz: że Internet nie może podlegać jakimkolwiek formom centralizacji. Natomiast postulat prawa do swobodnego korzystania został uzupełniony uwagą o potrzebie opanowania umiejętności takiego użytkowania – którą trzeba wdrażać w trybie powszechnej edukacji.

Za to bez nadmiernych uproszczeń zreferowano w tym tekście skomplikowany i trudny – a nawet, być może, niemożliwy – do satysfakcjonującego rozwiązania problem swobody transmisji i odbioru treści przez Internet. Niewątpliwie zgodne z prawdą są sygnały nagminnych praktyk blokady i filtracji komunikatów, co z zasadą wolności wypowiedzi pozostaje w jaskrawym konflikcie. Ale jednocześnie wszyscy, lub prawie wszyscy, zgadzają się co do tego, że uzasadnione jest filtrowanie treści niepożądanych, jeśli odbiorcami mają być dzieci. Oraz: że trzeba blokować przejawy agresji, cyberataków i całą tę, rozplenioną szeroko, lawinę hejterstwa. Niby racja, tyle że to oznacza jednak przyzwolenie na reglamentację i kontrolę przepływu treści, niezależnie od intencji nadawców i od woli odbiorców. Kto i jak miałby to robić, oraz jak ustalić granice dopuszczalnych ingerencji?

Zwłaszcza przy kategoriycznym zanegowaniu jakiegokolwiek cenzury na szczeblach centralnych. No więc mowa jest o ewentualnej samokontroli oraz samoregulacji lokalnej, miejscowej, ale bez sugestii, żeby to było rozwiązanie rzeczywiście dobre. W praktyce widać, że to jest kwestia naprawdę wysoce złożona i na razie (?) chyba rzeczywiście nie do satysfakcjonującego rozwiązania. Przywołane wypowiedzi nie sugerują zresztą, że jest inaczej i to jest referencja uczciwa.

Natomiast na marginesie tych rozważań pojawia się opinia – w ogóle szeroko rozpowszechniona, ale pozbawiona racjonalności. Mianowicie z różnych stron i z tego tekstu też wycieka nawoływanie do otwartości w praktyce publicznej transmisji treści, co po obdarciu z metafor oznacza po prostu nieodpłatny dostęp. Trudno kwestionować sam postulat, natomiast absurdem trącą koncepcje realizacyjne, sprowadzają się bowiem głównie do zanegowania praw honoraryjnych za autorstwo tekstów naukowych, informacyjnych lub literackich. W rzeczywistości komercyjno-rynkowej ktoś chyba upadł na głowę, przypisując przedsięwzięcia kreacyjne do powinności (jak należy przypuszczać) etatowych, np. w uczelniach. Ciekawe, że nikt nie ma za złe opłat za urządzenia, aparaturę, abonament internetowy, bądź za naprawy i materiały, tylko akurat rekompensaty dla twórców wielu kłują w oczy. I autorów sygnalizowanego opracowania najwyraźniej też.

Jeśli już opowiadać się za darmowym rozdawnictwem, to ewentualnie lepiej zacząć od samochodów, chleba oraz igrzysk. Bez precyzyjnego ustalenia, kto wobec tego i jak miałby płacić twórcom za autorstwo tekstów – żeby publiczność miało dostęp do nich za darmo – cały ten pomysł zalatuje fikcją. Transmisyjną amatorszczyznę można sobie uprawiać na poziomie Wikipedii, albo w formule Facebooka, natomiast profesjonalizm musi mieć wykładnię finansową. Jeśli nie kliencką, odbiorczą, użytkowniczą, to czyją? To również jest problem do zasadniczego przedyskutowania, lecz jednak wśród osób, które wiedzą czym jest nauka, kreacja, albo twórczość artystyczna.

Inne, równie ważne zagadnienie – także (prawie?) nierozwiązywalne – o którym mowa w tym opracowaniu, to prawo do prywatności, konieczne do zagwarantowania również w komunikacji internetowej. W ogóle o takim prawie traktują liczne dokumenty ONZ, lecz ich implementacja do praktyki sieciowej nie jest wcale łatwa.

Rzecz w tym, że każdy użytkownik chce mieć poczucie bezpieczeństwa, kiedy korzysta z Internetu, a takie powstaje, jeżeli zostanie wykluczona możliwość identyfikacji zarówno nadawcy, jak i odbiorcy, komunikatu internetowego. Służyć temu zaś powinno prawo do uczestnictwa anonimowego, do utajnienia danych osobowych oraz do ukrycia lub do wykasowania tych informacji własnych, które użytkownik zechce. Ale to jest niemożliwe do stuprocentowego spełnienia; ochrona prywatności w sieci daleko odbiega od doskonałości i trzeba koniecznie, żeby każdy o tym wiedział.

Jeżeli wchodzi się w relacje sieciowe, to bardzo trudno następnie zachować dyskrecję. Istnieją bowiem skuteczne sposoby na rozszyfrowanie i na odtworzenie wprowadzonych treści, nawet pozornie niby to skasowanych, jak również na identyfikację nadania oraz odbioru – żeby już nie wspomnieć o praktykach hakerskich.

Są wprawdzie sugestie, żeby sprecyzować w skali globalnej minimalne standardy prywatności, ale nie wiadomo kto miałby je wypracować, a tym bardziej – zagwarantować następnie, że będą przestrzegane. Bo tak się składa, że żadna władza na dowolnym szczeblu nie jest entuzjastką prywatnych dyskrecji. Przeciwnie! W sygnalizowanym tu tekście nie ma sugestii, jakoby było inaczej i wobec tego lansuje się opinię, że wszyscy muszą sami zadbać o swoją prywatność, zatem powinni być do tego odpowiednio przygotowani. Co łatwo powiedzieć, ale wykonać – już nie.

Oprócz programów informatyki w szkołach z taką zawartością treściową, autorzy przywołują jeszcze hasła wychowania etycznego i uświadamiania, że Internet bywa używany także do celów nagannych. Oczywiście: co innego można zaproponować? Ale to jednak jest świadectwo niemocy i bezradności. W końcu bowiem reguły etycznego postępowania są rozpowszechniane od zawsze i w skali możliwie najszerzej, ale do wyeliminowania zła i przestępczości nigdy jednak nie doszło. Skąd zatem wyobrażenie, że w tym wypadku będzie inaczej?

UNESCO nie jest instytucją, która mogłaby cokolwiek zarządzić, narzucić lub wyegzekwować. Może tylko poddać pod rozagę, powiadomić, zachęcić, ewentualnie przekonać. Autorzy tego tekstu i konsultanci doskonale wiedzą, że tak właśnie jest i swoje finalne konkluzje dostosowują do tych uwarunkowań. Zwięźle sygnalizując, co w tym zakresie ta firma może i zamierza zrobić.

Jest więc deklaracja zainicjowania znacznie szerszej dyskusji publicznej na temat koniecznej neutralności Internetu oraz – uporczywego namawiania rządów do wprowadzania (na szczeblach państwowych) racjonalnych regulacji użytkowania Internetu. Są również zapowiedzi wspierania badań nad zachowaniem prywatności w sieci oraz wypracowania ulepszonych reguł edukacji medialnej i przysposobienia internetowego. A swoistą kwintesencję projektów stanowi zobowiązanie do promowania – w każdy możliwy sposób – zachowań ostrożnych w komunikowaniu się przez Internet. Odnoszę wrażenie, że nie jest to mało.

Nadesłano: 10 czerwca 2016.